Moje spotkania z filmem

Barbara Krafftówna



NIEPOKOJE I SATYSFAKCJE

(1)

Gwiazda estrady i „Kabaretu Starszych Panów", aktorka znakomita, a przede wszystkim wszechstronna. Teatr Witkacego — i wstrząsająca, tragiczna Felicja z „Jak być kochaną". Barbara Krafftówna opowiada o swojej przygodzie z filmem w trzech odcinkach naszego cyklu.

Miałam to szczęście, że przystępując do pracy w filmie byłam już dość mocno stojącą na nogach aktorką teatralną. Premiera „Sprawy do załatwienia", gdzie debiutowałam pod kierunkiem reżyserów Jana Rybkowskiego i Jana Fethke, odbyła się jesienią 1953 roku, kiedy to miałam już za sobą kilka sezonów gęsto wypełnionych pracą w teatrze. Ten początek współpracy z kinematografią był, może bardziej nawet niż się zdaje, znaczący dla mojej aktorskiej biografii. Wchodziłam w tryb pracy bardzo dla dzisiejszych aktorów charakterystyczny, dwojenia się i trojenia, biegania z teatru na plan filmowy, na próby w telewizji, na występy estradowe. A wówczas do tego jeszcze nie przywykłam. Jako niedawna absolwentka Studium Dramatycznego pod kierunkiem Iwo Galla pamiętałam wpojone mi tam zasady, by działać w skupieniu nad jedną absorbującą nas pracą. Gall — reżyser i pedagog w jednej osobie — bardzo pilnie przestrzegał, aby cała jego młodzież aktorska w sposób najbardziej racjonalny zużywała swoje siły psychiczne i fizyczne. Zasadą rygorystycznie przestrzeganą był podział na zespół grający w przedstawieniach i drugi — przygotowujący kolejny spektakl. Bo, jak twierdził Gall, młody aktor musi dać z siebie podczas próby tak wiele, że gdyby musiał jeszcze tego samego dnia grać w spektaklu, po prostu gubiłby wszystkie zdobyte umiejętności.

Dość długo jeszcze, wchodząc w normalny tok pracy scenicznej, kiedy przed południem trzeba grać jedną, a wieczorem inną rolę i w innym gatunku literackim, odczuwałam niedogodności takiego trybu pracy. A cóż dopiero, gdy do tych, dostatecznie przecież absorbujących psychikę zajęć, dochodzą występy przed kamerą filmową lub telewizyjną!

Dlatego mogę mówić o szczęściu, że zetknęłam się z filmem jako aktorka w miarę dojrzała w technice gry scenicznej i na planie mogłam wspierać się umiejętnościami wyniesionymi z teatru. Inna sprawa, że w tych właśnie latach panowała moda na tzw. odteatralnianie gry aktorskiej. Twierdziło się, że aktor teatralny nie zdaje egzaminu przed kamerą, reżyserzy filmowi tęsknili do genialnych „naturszczyków", z których twarzy i gestów mogliby lepić własne kreacje. Inną skrajnością było mówienie o konieczności powołania jakiegoś zespołu aktorów wyłącznie filmowych, specjalnie do tej pracy predestynowanych.

Dla mnie jednak najważniejszym warsztatem pracy była i jest scena. Spotkania z filmem, choć nieraz miłe i zawodowo płodne, zdarzały się na tyle rzadko, że nie stanowiły istotnej konkurencji dla teatru. Po „Sprawie do załatwienia" dopiero w cztery czy pięć lat później otrzymałam niewielką rolę w „Deszczowym lipcu" reż. Leonarda Buczkowskiego. W tej sentymentalnej historii wakacyjnego romansu, rozgrywającego się w zakopiańskim plenerze wystąpiłam jako jedna z wczasowiczek. W tym samym czasie otrzymałam też propozycję, która okazała się jedną z ciekawszych w mojej karierze aktorki filmowej.

„Popiół i diament" czytali wszyscy. I ja znałam tę książkę, zdumiałam się więc, gdy okazało się, że Andrzej Wajda widzi mnie w swoim filmie jako Stefkę. Pojechałam do Wrocławia, gdzie kręcono zdjęcia, i podczas pierwszej, wstępnej rozmowy z reżyserem zapytałam go, czym się kieruje, iż tak wyraźnie określoną przez autora postać proponuje mnie. Stefka została opisana przez Andrzejewskiego jako dziewczyna prosta, zdrowa, o bardzo zdecydowanej fizyczności; jako dziewczyna, która ma siłę w rękach i nikogo nie zdziwi, gdy z tej siły skorzysta. Wydawało mi się niemożliwe prezentowanie podobnej postaci w filmie: czułam swoje drobne ręce zupełnie niepodobne do rąk Stefki z powieści — swoje warunki fizyczne, nieprzystające, jak sądziłam, do rysunku tej postaci.

Andrzej Wajda nie był wcale zdumiony moim pytaniem i moimi wątpliwościami. Powiedział, że dokładnie przemyślał tę sprawę i że nie chodzi mu o identyczność w stosunku do pierwowzoru literackiego, a raczej o przeniesienie na ekran pewnego typu mentalności. Oczywiście, przy takiej koncepcji reżysera wiedziałam, że Stefkę będę mogła zagrać, chociaż jakby wbrew sobie: przeciwko temu, jak wyglądam i jaka jestem, wbrew własnej fizyczności. Zadanie okazało się ciekawe — a i efekt chyba nie najgorszy.

Ta rola przypomina, jak trudno przewidzieć ostateczny wynik naszych aktorskich działań. Zwłaszcza gdy spotykamy się z zadaniem niekonwencjonalnym, z czymś nowym. Pamiętam doskonale okres, gdy w Teatrze Dramatycznym szykowaliśmy „Parady" Potockiego. Z tego typu formą zetknęłam się po raz pierwszy. Była to jakby komedia dell'arte z purenonsensownym tekstem, stanowiącym jedynie pretekst do wyjścia na scenę. W jakimś momencie prób nastąpił kryzys wiary, czy ta forma wnosi cokolwiek nowego do naszych doświadczeń, czy będzie to dla widza rzeczywiście zabawa. Po czym okazało się, że „Parady" były nowym rozdziałem w pewnym gatunku teatralnej wypowiedzi, a nam wszystkim, uczestniczącym w ich powstawaniu, dały materiał do wielu innych aktorskich działań, pobudziły wyobraźnię, rozszerzyły możliwości. (cdn)

Relację aktorki spisała i opracowała: el

...ze Zbigniewem Skowrońskim w „Popiele i diamencie" reż. Andrzeja Wajdy

